

PO CO INTELIGENTOWI TEATR?

Coraz częściej, gdy proponuję znajomym wizytę w teatrze, odpowiadają: dziękuję, nie skorzystam. Jednych nie interesuje „kloaka z widokiem na śmietnik”, czyli n-ty reportaż sceniczny o patologiach rodzinnych, plagach społecznych, jak narkomania, bezdomność, bezrobocie, przemoc czy prostytutka. Mówią, że to wszystko szybciej i lepiej pokazuje telewizja. Istotą dramatu jest konflikt racji, czego w nowych sztukach trudno się dopatrzeć. Świat jest w nich tyłko czarny, a bohaterowie przeciw niemu zbutowani, czyli gramy do jednej bramki. Innym żal czasu na eksperymenty obyczajowo-estetyczne; ile razy można oglądać sztukę o homoseksualistach – mówi mi przyjaciel homo. Teatr jest dla młodych, myśmy już swój mieli, a obrazków nie zastąpią myśli – słyszę, gdy usiłuję namówić kogoś na obejrzenie pracy młodego reżysera.

Przeważnie więc chodzę na przedstawienia sama, ale rzadko wracam z poczuciem treściwie spędzonego wieczoru. Dawno minęły czasy, gdy trzeba było obejrzeć przedstawienie, przeczytać jakąś książkę; po prostu nie wypadało nie znać, skoro się o tym słyszało i dyskutowało. Życie umysłowe strasznie się zatimizowało na poszczególne środowiska polityczne, zawodowe. Wobec tego dawne powinności inteligentów się skurczyły, coraz mniej jest spraw wspólnych i ważnych. Czytałam nawet tezę, że skoro mamy już wolny kraj, to owa specyficzna grupa czy warstwa społeczna jest niepotrzebna. I inna, że inteligencji już nie ma, zatopili ją ludzie sukcesu i władzy. A misja budzenia sumień, wrażliwości społecznej czy bezinteresownego działania i myślenia, przynależna jej kiedyś, już jest nieaktualna. Służą temu odpowiednie instytucje.

Może to prawda, ale wciąż wolę obcować z niemodnym inteligentem (na szczęście są jeszcze tacy) niż ze współczesnym milionerem czy ministrem. Chętnie też wracam do pisarzy, którym z ludźmi przedkładającymi być nad mieć było po drodze, a także z tymi, co kochali dzielić włos na czworo i mieli wątpliwości. Pisarzy opisujących rozterki i wybory niegdysiejszych inteligentów jest wielu,

zarówno polskich, jak rosyjskich. Na przykład Dostojewski.

Wieś Stiepanczykowo na scenie Teatru Współczesnego w Warszawie to w pierwszym akcie przestrzeń ograniczona ścianami z metalu i seledynowego pleksi, wypełniona nakrytym biało stołem, za którym zbierają się liczni domownicy. W drugim – salon ozdobiony fotelami w stylu vintage, żywcem przeniesionymi z modnej knajpy. W prawym górnym rogu ikona z pałacą się stale świeczką, przed proscenium pochyły podest umożliwiający wejścia aktorów, wyznaczający jednocześnie drogę do majątku. Scenografia Małgorzaty Szcześniak, zwłaszcza kostiumy i fryzury nadające karykaturalne rysy bohaterom, utrzymane w typowo postmodernistycznym stylu, zaciekawiają. Na scenie tego teatru szczególnie. Jakbyśmy się znaleźli w pobliskich Rozmaitościach.

Parę antagonistów stanowią pułkownik Jegor Ilicz Rostaniew i Foma Fomicz Opiskin, rezydent posiadłości Rostaniewa. Posiadłości tyleż sielankowej, co nierealnej, jeśli wziąć pod uwagę realia carskiej Rosji lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku znaczonej walką ziemian o zachowanie pańszczyzny i wyzysku chłopów. Jednak Dostojewski opuszczając katorgę – a pisał *Wieś Stiepanczykowo i jej mieszkańców* w Semipałatyńsku w 1858 roku, czekając na pozwolenie powrotu z wygnania – musiał się liczyć ze wzmoczoną kontrolą cenzury. Prawdziwy obraz społeczeństwa zamienił na komediowy, co wcale nie znaczy mniej zjadliwy.

Dziś skłonni jesteśmy dopatrzeć się w konstrukcji jego bohaterów uniwersalności. Wujaszek Rostaniew jest figurą „idealnego ziemianina”, dobrego i czułego pana, którego opiece polecają się chłopci i za nic nie chcą umknąć spod ojcowskiej ręki. Naiwny, łagodny „człowiek o pięknej duszy” czasem wykpi głupotę i zacofanie poddanych, ale skrzywdzić ich nie pozwoli. Foma Fomicz, goszczący w majątku wujaszka pisarzyna, którego pokąsała „żmija literackich ambicji”, to człowiek wysoce odrażający. Zakosztował sławy

podrzednego literata i teraz na wsi leczy swe kompleksy. Żąda od wszystkich uwielbienia i podziwu, dowodów uznania składanych swej niepoahamowanej próżności. Zadufany w sobie bęćwał nieoczekiwanie dla gospodarza stał się w jego własnym domu autorytetem moralnym dla starej sklerotycznej matki, jakże podobnej do starej Wojnickiej, wpatrzony bezkrytycznie w Sieriebriakowa, i jej równie durnego otoczenia złożonego ze starych pannen, rezydentek oraz skrachowanych nieudaczników. Obłudnik i błazen obdarzony został przez autora rysami niezasłużonego poniżenia i cierpień, jakich doznał, usprawiedliwiającymi niejako tak okropny charakter.

Pojedynek antagonistów przybiera nowe barwy dzięki aktorom. W oryginale Rostaniew jest roslým pułkownikiem dragonów, Foma zaś kreaturą drobnomieszczanina mizernej postury. Na scenie odwrotnie. Wojciech Pszoniak w roli wujaszka (tak go nazywa narrator) jest drobnym mężczyzną o niezwyklej rúchliwości ciała i twarzy. Andrzej Zieliński – Foma Fomicz – już samą wysoką, niemal posagową sylwetką dominuje nad wszystkimi. Tym wyraźniej widać obleśne cechy jego charakteru, to, z jaką satysfakcją upokarza najpierw służących, a potem swego żywiciela, każąc się tytułować Waszą Eksceleńcją. Wszystkich traktuje z lekceważącą wyższością, nawet do obiadu siada w szlafroku i bieleńźnie, z rozczochraną czupryną brudnych włosów. Przerывa domownikom w pół zdania, by samemu powiedzieć kolejną bzdurę. Nie waha się nikogo obrażać ani osądzać, jakby sam był jedyną miarą świata. A wszelkie chamstwo i beczelność zyskują mu poklask zebranego towarzystwa. Ktokolwiek patrzy trzeźwo, zostaje z kręgu bezkrytycznych apologetów wykluczony albo sam się usuwa, a prymitywny dureń triumfuje.

Przyczyną jego siły jest oczywiście słabość innych. Najwyraźniej ujawnia swą przewagę w starciach z wujaszkiem. Ten owdowiały pułkownik, człowiek zamożny, jest tak niepewny swych racji, tak zahakany przez egzystyczną matkę, tak chce być przez wszystkich lubiany, nikomu nie zaszkodzić, nie sprawić przykrości, nie uchybić normom dobrego

wychowania, że sam staje się największą ofiarą rezydenta padalca. Nawet gdy doprowadzony do furii postanawia się go pozbyć za niebagatelną cenę piętnastu tysięcy rubli, przegrywa. Foma nie tylko odrzuca pieniądze, ale jeszcze czuje się obrażony propozycją. Wujaszek kaja się za swoją „niegodziwość”. Również za to, że w ataku furii, broniąc czci ukochanej kobiety, wyrzucił intryganta przez okno. I jest bezgranicznie szczęśliwy, gdy pi-sarzyna, ratując swój byt, zgadza się łaskawie pobłogosławić jego związek.

Kolejne rundy walki bohaterów przypominają igrzyska gombrowiczowskie zapasy z formą; a rzecz idzie o szlachetność i moralność. Zapasom kresu nie ma, zawsze można odwrócić kota ogonem i udowodnić, że czyn czy słowa są za mało szlachetne, podszyte niemoralną intencją. Pułkownik uwikłany w retorykę własnej szlachetności i dobroci, pełen skrupułów – przegrywa. Wyższość kaja się przed niższością. Wujaszek z zapalem nałogowca, jakby nie mógł się uwolnić od psychicznej zależności, bez przerwy potwierdza swe postęпки w oczach Fomy i uzależnia się od niego jeszcze bardziej. Zwycięza pozbawiony skrupułów prymityw, kreujący się tu na jurodiwego, jednego z tak popularnych w Rosji bożych pomazańców, wędrujących szaleńców. To w końcu jego powinowaty Rasputin opętał carską rodzinę i rządził Rosją.

Groźniejszy jednak jest przypadek Jegora Ilicza Rostaniewa, typowego rosyjskiego inteligenta ogarniętego atrofią woli, człowieka o gołęim sercu i bezbronnym umyśle. To przecież tacy jak on, szlachetni idealiści, nie potrafili stawić czoła rzeczywistości. Uwie-dzeni maskaradą form, zapominali o powinnościach wobec bliskich i swej klasy, przegrywali na własne życzenie. Wojciech Pszoniak bardzo wyraźnie pokazał psychiczną destrukcję swego bohatera, jego brak zdecydowania, niepewność każdego ruchu i słowa, manifestującą się nadmiarem gestów i mimiki. Stworzył człowieka zaszczutego, który nie potrafi żyć własnym życiem, bo stale ogląda się na osąd innych, albo gorzej jeszcze – żyje życiem odbitym z braku własnego. Zwłaszcza w drugim akcie farsowym grał wyraziściej

niż w pierwszym, prowadzonym na seriozną nutę.

Oglądałam szamotanie się rosyjskiego inteligenta przed oblesnym i beczelnym chamem, a pamięć wyświetlała mi przeczytane ostatnio wyznania współczesnych inteligentów, których ton doskonale oddawał tytuł wywiadu w „Polityce” ze Sławomirem Mrożkiem – *Ja odchodzę, Edek zostaje*. Nie bez przyczyny w ciągu paru ostatnich tygodni profesorowie, czyli osoby zaufania publicznego, podjęli publiczną debatę o roli i powinnościach inteligencji. Gorzki tekst Barbary Skargi *Inteligencja zamilkła* skłonił do polemiki Jerzego Jedlickiego tekstem *Przedwczesny pogrzeb inteligencji* (oba w „Gazecie Świątecznej”). Bronisław Łagowski w ostatnim „Przeglądzie” pyta *Do czego Polska doszła?* Skoro partia liberałów w rozgrywce o rząd dusz, obiecując w razie wygranej subwencje na rozwój teologii, licytuje wyżej niż rządząca, która uznała media redemptorysty z Torunia za jedynie słuszne. A inteligencja polska nie protestuje...

Nagle w skromnym przedstawieniu ujrzałam rozłożoną na czynniki pierwsze duszę inteligenta, którego „procedury demokratycznej selekcji” zawiodły. Owego szlachetnego idealistę, narcystycznie wpatrzonego we własne uczciwe „ja”, zastraszonego chamstwem i butą tych, którzy zajęli jego miejsce, a niekoniernie działają z pobudek ideowo-altruistycznych i rzadko mają na względzie interes wykluczonych, za którymi się tak głośno a populistycznie ujmują, zwłaszcza w blasku kamer.

Wiem, sytuacja dziewiętnastowiecznych inteligentów nie opisuje dzisiejszej, ale na-

prawdę, wróciwszy do domu, miło pomyśleć, że taka grupa społeczna istniała i pewnie jeszcze istnieje, tylko jej nie widać. Zwłaszcza gdy w telewizji oglądamy beneficjentów demokracji, tych panów z dyskretnie obniżonym krokiem, posługujących się upiorną „polszczyzną”, dobrze sobie przypomnieć takie pojęcia, jak honor, przyzwoitość, zdolność do działania dla dobra ogółu. I zastanowić się nad historią paru pokoleń szlachetnych idealistów, czasem nierozważnych, zbyt zapalczywych, naiwnych, ale niewykłananych w przyziemne interesy. Profesor Jedlicki pisze – pokaż mi, co czytasz, a powiem ci, kim jesteś. I jako płaszczyznę identyfikacji czy tożsamości lewicowej inteligencji wskazuje kilka periodyków, jak „Gazeta”, „Tygodnik Powszechny”, „Polityka”, „Więź”, „Res Publica”. O teatrze nie wspomina słowem, widocznie tam od dawna nie bywa. A przecież nie tak dawno teatr potrafił, albo się tylko starał, organizować zbiorową wyobraźnię, podejmował rozmowę z inteligentką widownią, dla której słowo poety, pisarza było ważniejsze od efektów plastycznych i gagów reżyserskich. Nie wiem, czy współczesnemu inteligentowi potrzebny jest jeszcze teatr, choćby takie spektakle, jak *Wasza Eksceleńcja*.

Elżbieta Baniewicz

Teatr Współczesny w Warszawie: *Wasza Eksceleńcja* według *Wsi Stepancykowo i jej mieszkańców* Fiodora Dostojewskiego, przekład – Jerzy Jędrzejewicz, reżyseria – Izabella Cywińska, scenografia – Małgorzata Sześciński. Premiera 25 stycznia 2006.

TAJEMNICZA POMYŁKA POETY

Zbigniew Herbert miał w Czechach swoich stałych tłumaczy. Jednym z nich był immunolog, poeta i prozaik, znawca literatury anglo-amerykańskiej, Miroslav Holub (1923-1998), którego nazwisko pojawiło się dwa razy w pismach Herberta w dość niezwykłych i wartych przypomnienia okolicznościach.

Po raz pierwszy znajdujemy je w dedykacji do jednego z esejów wchodzących w skład *Labiryntu nad morzem*, książki przygotowanej przez poetę do druku i złożonej w 1973 w Czytelniku, gdzie przeleżała się do 1981, a następnie została wycofana przez autora, który widać stracił nadzieję na jej wydanie. Tom